Nr. 48. We Lwowie dnia 26. Listopada 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

KAROLINA ŚWIETLA.

3) WSPOMNIENIE.

(Dokończenie.)

Nazajutrz opuściłam Pragę i nigdy już potem nie miałam zaszczytu znaleźć się w obecności wielkiej Czeszki. Czytanie jej dzieł jedynie pozwoliło mi uzupełnić obraz, wówczas uniesiony w duszy. Od czasu do czasu dochodziły mię też wieści o niej, aż przyszła ostatnia — żałobna.

Mam właśnie przed sobą wiązankę pism czeskich: codziennych, tygodników, miesięczników. Z wielu patrzy szlachetnie piękne oblicze zmarłej, wszystkie sławią jej cnoty, zasługi, genjusz, — podają opisy pogrzebu, który się odbył z królewskim przepychem, przy udziale dziesiątków tysięcy mieszkańców Pragi i niezliczonych deputacji towarzystw, instytucji, miast prowincjonalnych, wiosek. A zwykłą cierpkość hołdów pośmiertnych łagodzi fakt, że to nie po za grób dopiero całe piśmiennictwo krajowe, bez różnicy barw i kierunków, słało wielkiej poetce wyrazy uwielbienia i że nie po śmierci stała się ona przedmiotem ukochania dla swego narodu.

Miłość i cześć ogólna towarzyszyły Świetli przez całe życie, ujawniając się zwłaszcza podczas obchodów jubileuszowych, któremi społeczeństwo czeskie święciło dwudziestopięciolecie literackiej jej działalności, półwiekową i sześćdziesięcioletnią rocznicę urodzin.

W pamiętnych owych latach: 1880, 1883 i 1890 Świetla stawała się niby jakiemś bóstwem, na którego ołtarzu każdy śpieszył złożyć, co miał najlepszego. Pędzel i ołówek artystów ilustrowały najcelniejsze jej powieści, odtwarzały jej rysy, a także związane z życiem autorki lub uwiecznione w jej pismach miejscowości Pragi i gór jesztedzkich. Naukowe i literackie instytucje ogłaszały ku jej czci zbiorowe wydawnictwa. Poeci, z Vrchlickim i Krasnohorską na czele, wielbili ją w płomiennych rymach i poświęcali jej dzieła swoje. Prozaicy pisali życiorysy jubilatki lub studja krytyczne o jej pismach. Niezmiernie liczne w Czechach stowarzyszenia składały w hołdzie adresy i dary honorowe. Dwadzieścia pięć towarzystw kobiecych zamianowało Świetlę członkiem honorowym, — kilka obrało ją sobie na protektorkę, — dwa — jedno w Libercu, drugie w Chicago — nazwały się jej imieniem, czyli właściwie pseudonimem literackim. Miasta i miasteczka prześcigały się w urządzaniu literacko-muzykalnych wieczorków na cześć jubilatki.

A gwiazda sławy poetki nie zbladła, nie ściemniła się nawet wówczas, gdy głos jej coraz rzadziej dawał się słyszeć czujnym słuchaczom, gdy cierpienie fizyczne wytrącało coraz częściej pióro z pracowitej dłoni. Owszem, każda z następnych uroczystości szersze od poprzedniej zataczała kręgi, większą odznaczała się wspaniałością.

Najwspanialszą zaś była ta ostatnia — żałobna — pośmiertna....

Miłujące dłonie osypywały różami i laurem śmiertelne szczątki, z których nieśmiertelny uleciał duch; tysiące oczu roniły łzy nad trumną, u której rycerska drużyna sokola pełniła z obnażonemi rapierami straż honorową. A gdy ta droga trumna spoczęła na przysłanym przez Radę miejską rydwanie złotym, pociągnęły wślad za nią tłumy, których nie podobna było zliczyć: ani wzrokiem ogarnąć.

I tłumy owe posiadały jasną świadomość, ile zawdzięczają tej, co odchodziła na zawsze w niegasnącej aureoli miłości ludu, a ciche szepty, wyrywające się tam i ówdzie z piersi wzruszonej, były tłumaczami uczuć zbiorowych, wyrazem ogólnego nastroju. »Była ona krewną całego narodu, niema więc co powoływać się na szczególniejsze jakieś prawa«, — bronił się ktoś z publiczności, nie chcąc ustąpić siostrzeńcowi zmarłej miejsca za trumną. »Na dziełach jej nauczyłem się czuć i myśleć«, — wyznawał mąż, zahartowany w bojach żywota. »Ona była mistrzynią moją i jedyną pocieszycielką w kalectwie«, — szeptało dziewczę, od wczesnych lat pozbawione słuchu, które rozumieć mogło już tylko mowę książki. — »Dzięki jej wróciła mi utracona wiara w ludzkość, szlachetność i dobro«, — dorzucał starzec, dotknięty bolesnemi zawodami. »Ona rozwinęła we mnie

miłość dla wzniosłych ideałów, które ustrzegły mię od niskich namiętności, od moralnego upadku«, mówił ojciec, z trwogą spoglądający w przyszłość synów. — »Z jej pism poznałam wielkość, klęski i sławę ojczyzny, — zwierzała się prosta kobieta z ludu, którą książka, niby ołtarz, odrywa od trosk ubogiego życia. — »Pisma jej były dla mnie w młodości źródłem nieopisanych uniesień, — mówił patrjota ze srebrzącem się włosem u skroni. — »Zwiedzałem, niby święte miejsca, zakątki starej Pragi, gdzie odgrywały się jej powieści, które otwierały przedemną dalekie perspektywy na dzieje czeskie. A gdy uchyliła zasłonę, skrywającą przed nami Jeszted, gdy ukazała nam wspaniale piękne postaci wśród ludu, który go zamieszkuje, — wówczas zrozumiałem, że miłości naszej dla ojczyzny przyświeca cel wielki i święty, skoro w ludzie spoczywają takie skarby szlachetności i siły, — i że byłoby zbrodnią nie popierać całą duszą walki tego ludu o prawo do życia«.

— »Płynęłoż kiedy za trumną pisarza czeskiego tyle gorących, szczerych błogosławieństw, co za naszą Świetlą?« — zapytuje Krasnohorska po przytoczeniu wyżej podanych głosów w jednem ze wspomnień pośmiertnych, którem uczciła pamięć najdroższej przyjaciółki i towarzyszki pracy w ciągu lat trzydziestu siedmiu!

Wymowniejszym jednak, niż słowa, dowodem wdzięczności są czyny, któremi naród czeski pragnie uczcić pamięć przewodniczki swej duchowej. Towarzystwa kobiece w Pradze i miastach prowincjonalnych stawią sobie za cel, na razie najważniejszy, rozpowszechnianie pism Świetli i urządzanie na jej cześć wieczorków. Dochód zaś z owych obchodów wraz z obfitemi składkami, napływającemi codziennie ze wszystkich stron, ma utworzyć fundację imienia Karoliny Świetli, której celem będzie obrona mniejszości czeskiej na północnych kresach, to jest tam, gdzie się wznosi wspaniały Jeszted, — gdzie oddawna działa »Północno-czeska Jednota«, której Świetla była honorowym członkiem, — gdzie założone przez zmarłą szkółki wiejskie garną dziatwę czeską pod opiekuńcze swe skrzydła.

Obrona zagrożonych kresów, praca nad podniesieniem ludu, nie jest-że to hołd najgodniejszy pamięci wielkiej patrjotki, o której poeta mówi, że w dziełach jej płoną róże wszystkich serc czeskich, migocą granaty czeskich uczuć, odźwierciadla się cudna krasa ojczyzny, szeleszczą skrzydła nadziei w promienną przyszłość narodu?

M. Wysłouchowa.

28)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

W trakcie robót na naszej łodzi, Aleksander Czekanowski miał czas wolny i zwiedzał pilnie okolice Jakucka w celach naukowych. Piątego czerwca wyruszył w towarzystwie naczelnika powiatu do wsi, „Marchą“ zwanej, oddalonej o jakie 20 wiorst od miasta i zamieszkałej przez zesłanych (przeważnie z Rosji europejskiej pochodzących sektantów) „Skopców“. Podczas tej wycieczki zamierzał Aleksander Czekanowski obejrzeć „wzorowe“ gospodarstwa rolne okolic Jakucka, albowiem „Skopcy“ i „Starowiercy“, ci ostatni również zsyłani na mieszkanie do kraju jakuckiego, słynęli wówczas za wzorowych pionierów w zakresie rolnictwa, pszczelnictwa, ogrodownictwa i hodowli owiec. Czekanowski, wróciwszy z tej wycieczki, oświadczył, że był zdumiony wysiłkami pracy ludzkiej, dokonanej na dalekiej północy, na terenie „wiecznie zmarzłej ziemi“. W roku 1875 sama wieś „Marcha“ obsiewała kilka tysięcy morgów roli, uprawianej przy pomocy najemnych Jakutów, którzy uchodzili już wtedy za zdolnych i pracowitych rolników.

Bogatsi gospodarze z pomiędzy „Skopców“ zaczęli nawet już byli hodować owce, wprowadzać lepsze rasy koni, a nareszcie poczynili próby hodowania pszczół, nie zważając na zimę, trwającą 8 miesięcy. Ale rok 1875 zawiódł nadzieje pszczelarzy, gdyż dopiero 5. czerwca star. st., akurat w czasie pobytu tam na wsi Czekanowskiego, wyniesiono po raz pierwszy ule na świeże powietrze, zaś do tego czasu przechowywano je w osobnych zabudowaniach, gdzie karmiono pszczoły miodem, sprowadzanym aż z gubernji tomskiej, w zachodniej Syberji. To niepowodzenie jednak nie zniechęciło mieszkańców „Marchy“, uznali oni rok rzeczony za wyjątkowo chłodny, a powoływali się na to, że w innych latach przymrozki nie mają miejsca w początkach czerwca, zaś Lena oczyszcza się już z lodów przed 13.

maja, gdy rzeczonego roku wyjątkowo tylko lody puściły w Jakucku dopiero 18. maja star. st. *).

W ciągu podróży naszej do Jakucka i w czasie pobytu w tem mieście, Czekanowski odzyskał siły i zdrowie, był wesół, pełen nadziei i wiary w pomyślny rezultat naszej wyprawy, a gdy ludzie doświadczeni, do których należeli też i nasi nowi towarzysze, oświadczyli najbardziej stanowczo, że nawet przy warunkach najgorszych powinniśmy przybyć do Bułuna nie później, jak na pierwszego lipca st. st., to radość Aleksandra była wielką, mielibyśmy bowiem w taki sposób dosyć czasu przed sobą, ażeby módz wykonać wszystko, cośmy zamierzali uczynić, tak dobrze w dolinie Leny, jak i na Oleneku. Jasne i piękne dni czerwcowe działały ze swej strony dodatnio na nasze usposobienie moralne, to też z sercem pełnem wesela opuściliśmy Jakuck 7. czerwca o godzinie 4. popołudniu. Lena na północ od miasta jest już rzeką olbrzymią, jej szerokość w miejscach, wolnych od wysp, wynosi około trzech wiorst, a przy ujściach dopływów: Ałdanu i Wiluja, szerokość jej ma nawet dosięgać 30-tu wiorst. Wody rzeki w tych okolicach są podobne do morza. Lewy brzeg, przy którym płyniemy przeważnie, jest niski i w pewnej odległości od wody pokryty lasem; prawego brzegu nie widać wcale, natomiast daleko na horyzoncie wschodnim szarzeją góry Wierchojańskie.



Typy Jakutek (kopja z fotografji Obruczewa.)

Pasmo gór wymienionych zbliża się ku rzece, na przestrzeni pomiędzy ujściami Ałdanu i Wiluja, i przyczynia się znacznie do urozmaicenia widoków kraju, zkądinąd posępnego i nużącego oko podróżnika swoją jednostajnością smutną. Parę dni pierwszych, mianowicie do 10. czerwca mieliśmy pogodę jasną i cichą, zajęcia kartograficzne na łodzi, zbiory botaniczne i zoologiczne, dokonywane po brzegu, odbywały się pomyślnie, atoli od daty wspomnianej zaczęły nas prześladować wiatry przeciwne, północno-zachodnie. W miarę posuwania się na północ, wzmagały się one potężnie, tamowały bieg rzeki, podnosiły fale wysokie, które zalewały łódź naszą i zmuszały ostatecznie do szukania schronienia przy ujściach rzeczek. Codziennie po długich wysiłkach całej naszej załogi, musieliśmy, chcąc nie chcąc, zawracać do brzegu, wyczerpani z sił i przemokli.

Minąwszy ujście Ałdanu, rzeka zwraca się na północno-zachód i dopiero przy ujściu Wiluja odzyskuje swój pierwotny kierunek. Dalej na północ dolina się rozszerza, a góry znikają zupełnie; wiatry, bujając swobodnie po tych nizinach obszernych, przybierały na sile i stanowiły, przynajmniej dla nas, przeszkodę nie do zwalczenia, wobec naszych środków ówczesnych. Próżnymi okazywały się też nasze wysiłki, a wszystkie próby bezskutecznemi; całe więc dni spędzać musieliśmy w ukryciu, zajęci co najwięcej zbiorami botanicznymi i zoologicznymi. Nadzieje nasze, że zdołamy dopłynąć do ujścia Leny, prędko się rozwiały; już teraz marzyliśmy tylko o tem, ażeby dotrzeć do Bułuna przynajmniej.

Z powodu niezmiernie silnego wiatru północno - zachodniego, musieliśmy spędzić dwa dni (24. i 25. czerwca) przy ujściu małej rzeczki Czeremej, w pobliżu góry Czeremej - Chaja, tu po raz pierwszy, licząc od daty wyjazdu z Jakucka, zebrane były okazy skamielin roślinnych; one też rozjaśniły na chwilę zachmurzone czoło Aleksandra Czekanowskiego. Dzień 26. czerwca był dla nas pomyślny, płynęliśmy bez przeszkody wśród miejscowości, już nieco górzystej, ale 27. czerwca wiatr silny zatrzymał nas ponownie przy rzeczce i skale, noszących obie jedno miano „Bachanaj“. Wprost naprzeciw skały wynurza się z łona rzeki Leny wysepka skalista o stokach poszarpanych i stromych, robi ona wrażenie takie, jak gdyby była siłą gwałtowną a potężną oderwana od Bachanaja; wysepkę tę nazywają „Agrafieną“; pomiędzy nią a skałą nadbrzeżną prąd wody jest niezmiernie silny, fale, odbite od Bachanaju, pędzą, zataczając wiry koliste i głębokie ku

*) Termin puszczania lodów przy ujściu Leny oznaczają na dzień 10. czerwca. Rzeka staje około Jakucka w połowie października, a przy ujściu do morza pod koniec września.

stopom ostrokamiennym Agrafieny. Szumi rzeka w tej cieśninie, pieni się, miota i przebiega skośnie parę razy wpoprzek łożyska swego, zanim się dostanie na szersze miejsce.

Cieśnina rzeczona jest niebezpieczna nawet dla większych statków, opowiadano nam też o wielu wypadkach nieszczęśliwych, a fantazja ludności jakuckiej przybrała to miejsce w szatę poetyczną legendy następującej: „Kiedyś, przed wielu laty, żyć miała w pobliżu Leny para kochających się małżonków. Byli nimi „szaman“ Bachanaj i niewiasta, której przy chrzcie nadano imię Agrafieny. Nowoochrzczona porzuciła męża bałwochwalcę i popłynęła w świat daleki, pozostawiając go samemu sobie. Po pewnym jednak czasie Agrafiena tęsknić zaczęła po Bachanaju, uczucia miłości przemogły w niej wszystkie inne i postanowiła wrócić do opuszczonego. Płynęła więc w łodzi po rzece i była już blizką od miejsca, gdzie przebywał, gdy nagle za sprawą duchów przemienioną została w skałę potężną, stojącą wśród fali rzecznej. Przeobrażenie to niespodziewane nastąpiło w chwili, kiedy Bachanaj, spostrzegłszy wracającą, wyszedł na jej spotkanie. Stał on na brzegu, z wyciągniętemi przed siebie ramionami, chcąc pochwycić ukochaną w swoje objęcia; widząc atoli, co się stało, oniemiał z rozpaczy i z bolu wielkiego skamieniał, zamieniając się w głaz nadbrzeżny. Od tej daty kochankowie, rozdzieleni nurtami rzeki, nawet i po śmierci prowadzą nieustanną ze sobą rozmowę, wyrażając uczucia swoje wód jękiem, szumem i rykiem. Tych zwierzeń miłośnych skamieniałej pary, tych ich głosów boleści i rozpaczy nie powinni lekkomyślnie mącić podróżni, płynący po rzece, lecz przeciwnie mijać mają to miejsce niebezpieczne w skupieniu nabożnem, w cichości największej, w nastroju uroczystym, bo inaczej zemsta duchów ich nie minie“. Taką opowieść słyszeliśmy z ust naszego sternika, gdyśmy się gotowali do drogi.

Zrana 28. czerwca wiatr ucichł, pogoda była jasna i piękna, spieszyliśmy się więc z odjazdem. Łódź nasza odbiła od brzegu, i w chwili, gdyśmy się kierowali ku cieśninie groźnej, noszącej miano Bachanaja i Agrafieny, sternik nasz, Paweł, wydobył z ukrycia, w tajemnicy przed nami chowaną, miniaturową łódeczkę z masztem i z żaglem, z wiosłami i wioślarzami, ze sternikiem i sterem, wyrobioną misternie z drzewa i kory brzozowej, napełnił ją pospiesznie darami ofiarnymi, zawczasu przygotowanymi i przywiezionymi z Jakucka; dary te, duchom miłe, składały się z cukru, cukierków groszowych („kanfietki“), okruchów sucharów i ryby suszonej („Jukała“), z okrawków sukna i skóry. Przeżegnawszy to wszystko znakiem tajemniczym i szepcąc modlitwę, puścił Paweł ładunek na wodę, w miejscu, gdzie prąd pędził ku skalistej wysepce. Czółenko, porwane wirem, pognało szybko naprzód, aż się znalazło u stóp kamiennej Agrafieny; tutaj przewróciło się raptownie, składając dary wiezione, co, zdaniem sternika, oznaczać miało, że ofiara łaskawie przyjętą została, a więc, że nam już teraz nie grozi żadne niebezpieczeństwo; jakoż bez zwłoki zwrócono łódź naszą ku czeluści cieśniny, i wśród milczenia uroczystego, kierowani wprawną ręką sternika, — przebyliśmy pędem gwałtownym i w podskokach targanej wirami łodzi, to miejsce złowrogie.



Typy Jakutów (kopja z fotografji Obruczewa).

Po szczęśliwie dokonanej przeprawie przez cieśninę Bachanaju, nie długo cieszyliśmy się pogodą pomyślną, w kilka już bowiem godzin później zmuszeni byliśmy uciekać przed burzą i szukać bezpiecznego schronienia w małej zatoce u ujścia rzeczki Naszym, gdzie wiatry nas zatrzymały kilka dni z rzędu. Podczas takich przymusowych wyczekiwań na pogodę, zajęcia nasze ograniczały się z konieczności do prac kolektorskich i meteorologicznych. Tutaj, np. w dolinie Naszymskiej, znajdywaliśmy w szczelinach skał popękanych dosyć liczne okazy owadów, mianowicie błonkoskrzydłych. Z pomiędzy nich niektóre gatunki odznaczały się pięknością swego zabarwienia metalicznego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JANINA BAUDOUIN DE COURTENAY.

LENORA.

(Na temat Bürgera).

Nie południe to Francji i nie Włochy, przepełnione takimi gośćmi — jak oto ten podróżnik, przybijający już do portu. Jest to północ surowa i mroźna, ale dla niego już wszystko jedno, biegun czy równik, lody czy kwiaty, tundra czy Meran — grożą mu, czy promienieją po za osłoniętemi szybami sypialni.

Wieczór już późny — noc raczej. Zwiędła postać młodzieńcza rozpościera się bezwładnie na jakiemś wydłużonem siedzeniu.... Obawa śmiertelnego łoża.. Przyćmione światło słabo oświeca twarz piękną przed chwilą zaledwie, teraz kościstą i długą, raptownie zestarzałą. W głębokich niszach ocznych goreją wielkie źrenice, omszone rzęsą przepyszną. Ramiona, niby zeschłe łodygi, opadają na poręcz, pod lekkiem przykryciem ostro się zaznaczają kontury wynędzniałego ciała. Chrapliwy oddech i kaszel wysoko i często podnosi jego pierś.

Lecz owa zimna, zwarzona łodyga ręką obwija się dokoła ciepłej, różowej dłoni. Płonące oczy-pochodnie szukają chłodu w kryształach przejrzystych, chociaż znużonych źrenic. Usta spalone i bolesne szepcą urwane słowa, aby z tych świeżych ust różowych zdobyć odpowiedź pożądaną.

To życie, rozkwitające dopiero i śmierć już prawie zwycięzka — rozmawiają ze sobą.

— Dziś może jeszcze... nie?...

— Ani dziś, ani nigdy, nigdy!... kiedyś, razem... w późnej starości!

— Ani ty, ani ja nie wierzymy w to, co mówisz, a jednak niewątpliwe to kłamstwo chwilową ulgę-ułudę daje nam obojgu. Mów, mów dalej, zmyślaj, pocieszaj — uwierzę we wszystko, w cud nawet... Bądź wróżką, kabalarką, lekarką chłopską... zamawiaj, kochanie ty moje!... Nie puszczę cię dziś od siebie... bo lękam się... wydaje mi się... że „to“ się już przyczaja... tuż bliziutko... podkrada się w tych mrokach.

— Nie, ja nie kłamię! nie zmyślam! ja się nie łudzę! Wierzę — ja wierzę całą mocą najgorętszej wiary — że ty nie możesz umrzeć! Każdy — tylko nie ty! W tobie tyle potęgi życiowej, tyle energji życia — że żadna śmierć pozorna jej nie zabije — ona zwycięży ciało, chorobę i śmierć... i samą śmierć nawet przemoże!...

— Ha — tak! masz rację — mój „wielki“ duch pokona nędzne ciało... Nie umrę, naturalnie! O, nie! lecz „tylko się otrząsnę z marnej powłoki ziemskiej... tylko z tej podłej gliny — nieprawdaż?! Cha, cha — to bagatela! Wspaniały duch mój wyzwoli się z swych pętów — i z góry spoglądać będzie na padół ziemski — i na ciebie? czy tak?... A kto wie jednak... być może naprawdę „atomy ducha mojego“ mocniej niż inne są „zlepione“ — i nie rozpierzchną się tak łatwo. Analogja ze świata materjalnego — żelazo i powietrze! Pocieszajmy się więc, że nie stanę się przecież rozdmuchniętym po świecie materjałem do tworzenia się nowych foremek dla dusz, tylko w postaci poetycznego widma z cmentarnych bajek, po nad ziemią unosić się będę. Może zostałem wykrojony z mocnej materji duchowej „w dobrym gatunku“, nie łatwo rwącej się na strzępy. Wypadnę z twardej skorupy prześlicznie zachowany — niby udatne „gelé“ — z blaszanej foremki!... Cha, cha... cha...

— O, nie śmiej się tak! nie śmiej, mój jedyny! Kaszel cię dręczy, a ja już znieść nie mogę goryczy tych wyrazów!

— A więc „gruchajmy!“ Mówmy — „ach!“ mówmy o... „miłości“. „Ty mi na zawsze pozostaniesz wierną, kochanko moja!“ Będziesz „wianeczki“ kładła na mym grobie — a w końcu umrzesz z rozpaczy — i pochowają nas „w jednej mogile, a brzózki zaszumią nad nami“. Przecudownie! Och! — jakże mię to zachwyca!

— Zamilknij na miłość Boga! ucisz się! uspokój! spocznij! pozwól mi lepiej coś opowiadać, coś czytać...

— O, nie zapraszaj-że mnie całym szeregiem tych synonimów do spoczynku wiekuistego! Straszno... Tak! tak — umilknę już, spocznę niebawem... a i ty wtenczas spoczniesz po wszystkich nocach bezsennych w wygodnem, ciepłem łóżeczku!.... Wiem dobrze, że i mnie przecież ani zimno, ani ciemno być tam nie może... a jednak mimowoli dreszcze przechodzą... Brrr.... Chłód, noc... robaki!... sąsiedzi... sąsiedzi! Mów mi, o, mów mi, że nie umrę jeszcze tej nocy.

— Noc ta przyniesie ci z pewnością dobry, kojący sen... uciszy ból, zacznie uzdrawiać chorą pierś twoją... zacznie cię wskrzeszać dla

mnie, dla życia młodego, długiego... dla szczęścia, które przygasło tylko na chwilę... Najdroższy mój... biedny mój... miły, miły — mój! Połóż głowę na mem ramieniu, przymknij znękane oczy... i odrzuć te myśli gorączkowe... odrzuć wszelką myśl niespokojną — a sam się poddaj sennemu znużeniu, które przecież owładnie tobą, które cię ukołysze!

— Mów mi tylko jedno — słyszysz? jedno — „nie umrzesz jeszcze tej nocy!“

— Nie umrzesz, nie umrzesz, biedaczku mój najukochańszy!

Ciepła i drżąca rączka przesuwa się pieszczotliwie po pysznych czarnych kędziorach, które teraz tak bujnie się rozrosły, jak niby kiedyś jeszcze, po długich lat dziesiątkach miały osiwieć i zbieleć. W ogromnych, rozżarzonych źrenicach łza błyska. Szarpana ciężkim kaszlem pierś tuli się do słodkiego ramienia. Potem znów płyną i płyną szybkie wyrazy, to żałośnym, rwącym się półgłosem, to szeptem omdlewającym na ustach...

— Powiedz mi, jedyna, czy ty... byś... także — jak wszystkie inne... mogła mnie zapomnieć... zdradzić po śmierci? Stara, banalna to śpiewka — ale jest w niej coś zaraźliwego! Przed chwilą śmiałem się... słowami... z sentymentalnych kochanków, miłujących się do śmierci i po śmierci... a współczułem im całą dogorywającą istotą moją... Rzecz dziwna, że w tej... z pewnością przedśmiertnej już niemocy — im bliżej ciało do śmierci, tem więcej życie ducha zdaje się wzrastać, potężnić!.. zaostrzać się, subtelnić! Uczucia i pragnienia, szczególniej żal i rozpacz wrą niby w piersi spętanego tytana!...

— Czy mogłabyś mnie zdradzić?... Czy możesz nawet zbliżyć się myślą do czegoś podobnego?... Zdradzić takiego, jakim byłem dawniej... którego kochałaś nad miarę... pierwszą miłością dziewczęcą, pełną szału i uniesień... i szczególniej takiego, jakim dziś jestem, kiedy mnie otacza anielska, bezgraniczna litość twoja, gdy tyle dla mnie poświęcasz?...

— Nie zapomnę cię i nie zdradzę, chociażby dlatego tylko, że cię nie przeżyję zapewne. Pójdę za tobą — jeżeli-byś odszedł naprawdę przedemną.

Tego już nadto, dla niej n wet nadto już tej nieustannej, tragicznej komedji. Wyczerpana, zwyciężona — składa leciutko, ostrożnie bladą głowę swoją na jego chorem, jego nieszczęśliwem ramieniu, szukając tam nawet opory — i ciche łkanie wstrząsa jej ciałem.

Po zaostrzonych rysach chorego przelatuje jakby cień zwycięzkiego zadowolenia. Zaczyna mówić, zrazu powoli, zatrzymując się i namyślając, potem już z coraz większą szybkością i gwałtownością.

— Czemu, czemu nie mam wyznać przed tobą... szalonego pragnienia, które mnie teraz jedynie już pali. Wszystkie inne już odstąpiły. Pragnienia, które wydaje mi się nie wykonalnem, jak i pragnienie życia... Powiem, bo rwie mi się ono na usta, bo mi rozsadza pierś bolącą! Pewny jestem, że nie będziesz mogła spełnić mej prośby, bo to niepodobieństwo, bo za okrutna jest i za egoistyczna! Sprzeciwia się naturze samej, wyrazem jest najpotworniejszej niewdzięczności! A jednak osądź mnie, jak na to zasługuję... poznaj takim, jakim się stałem — teraz, pod koniec, bo przecież takim nie byłem. Długa męka, a wreszcie skazanie na śmierć niechybną a niesłuszną, w pośród najlepszych chwil życia — mogą przecież zdemoralizować człowieka ostatecznie!

Dziewczyna unosi głowę — i okiem suchem, przytomnem, pełnem apatycznej już prawie rezygnacji, czeka na nowe wybuchy, na nowe skargi nieszczęśnika, na nowe udręczenia, których powstrzymać nie znajduje już mocy. On zaś mówi dalej, walcząc z ciężkiemi napadami kaszlu.

— Gdybym mógł... ubłagałbym cię... zabroniłbym ci... gdybym mógł, rozkazałbym ci, abyś już nigdy... nigdy już więcej nie kochała — chociaż rozumiem aż nadto dobrze, że miłość jedyna w życiu — to nonsens i nieprawda! Ale... trudno uwierzyć... abyś ty.. po mnie, nieszczęsnym skazańcu, wdowa — mogła się kiedykolwiek uśmiechnąć do.... zalotnika. Ty! — po mnie!... Niepodobieństwo! nie — to niepodobieństwo. Tak samo — jak ty nie możesz wyobrazić sobie, bym „ja“ mógł umrzeć — choć przecież umieram niewątpliwie — tak i ja nie mogę wyobrazić, abyś ty z czasem zdradzić mogła pamięć moją, przestać rozpaczać... a jednak zdradzisz mnie... najpewniej... niewątpliwie...

(D. c. n.)

Szkice z nad Niewiaży.

13)

Uprzednio wspomniałem, że pozostawiono tylko dwa gimnazja męzkie w Kownie i Szawlach oraz jedno żeńskie — w Kownie, nie mające nic wspólnego z gimnazjum, ale noszące tę nazwę... dla publiczności. O usunięciu ze szkół publicznych wszystkich nauczycieli Polaków, i wykładów języka polskiego oraz wprowadzeniu wykładów religji w języku

rosyjskim — pisałem już był, tu dodam, że od wypadków 1863—1864 r. nasze dzieci w szkołach publicznych stanowią element upośledzony, krzywdzony i upokarzany na każdym kroku, słowem, są to parjasi szkolni.

Jeszcze w kilka lat po powstaniu skazywano rodziców na znaczne grzywny za przemówienie dziecka po polsku nietylko w szkole, ale wogóle w miejscach publicznych, potem, od czasów Potapowa, zaniechano tego, ale polskie przemówienie w ustach ucznia czy uczenicy jest dotąd zbrodnią: nawet w r. 1896 wykluczono w Wilnie z ósmej klasy ucznia za publiczne przemawianie po polsku, minister oświaty kazał jednak przyjąć go do gimnazjum w innym okręgu. Dochodzi do tego, że nauczyciele i dozorcy szkolni szpiegują uczniów, podsłuchują ich itd. itd. czy który z nich nie mówi po polsku, mówią, że niektóre szkoły utrzymują w tym celu szpiegów płatnych. W każdym razie widziano wraz z dozorcami szkolnymi, a nawet i niektórymi nauczycielami b. policjanta, na którego *vox populi* uczniów ukazywał jako na szpiega. W postępowaniu z naszemi dziećmi zasady słuszności i sprawiedliwości o tyle nie są przekraczane, o ile konieczność do tego zmusza. Niema co i wspominać o tem, że na każdym kroku poniewierane są uczucia religijne i narodowościowe uczniów nieprawosławnych; zdarzyło się raz nawet, że nauczyciel języka rosyjskiego miał dać na temat do wypracowania uczniom wierszyk, zaczynający się od wyrazów: »Nasz papa niepogrieszim,«*) w którym złośliwie wyśmiano dogmat nieomylności papieskiej. Opowiadał on o swym zamiarze gronu nauczycieli, ksiądz katecheta słysząc to, ostro zaprotestował i zawiadomił o tem dyrektora, który na przyszłość zakazał poruszać tematy podobne. Nadmieniam, że $^9/_{10}$ uczniów tej klasy, której to ćwiczenie miało być zadanem, było katolikami.

(C. d. n.) *J. Syrokomla.*

*) Nasz papież jest nieomylny.

Z pism i książek.

Chłopi - dziedzice we wsiach na prawie polskiem do końca XIII. wieku przez — Adama Szelągowskiego. Lwów 1899. (Studja nad historją prawa pol. pod red. O. Baltzera tom I. zeszyt 2).

Naukowa literatura nasza posiada cały szereg prac, poświęconych sprawie wyświetlenia prawnych, społecznych i ekonomicznych stosunków Polski piastowskiej. Pomimo to badaczom naszym nie udało się dotychczas dostatecznie wyświetlić istoty dziejów wewnętrznych tej mianowicie epoki, która zrodzić miała jednolity i konsekwentny ustrój prawno-społeczny XV i XVI wieku.

Jeśli bowiem w w. XV, XVI i w późniejszych spotykamy cały szereg skończonych, typowych kategoryj, w których zamyka się całokształt ekonomicznych, prawnych i społecznych stosunków, — to w ułożeniu się stosunków w wiekach XII i XIII zupełnie brak typowych form, któreby świadczyły, że pomiędzy zewnętrznymi i wewnętrznymi czynnikami, oddziaływującymi na kształtowanie się ustroju społecznego, ustaliła się już jakaś równowaga.

I dlatego właśnie te stulecia — wiek XII, XIII, a poczęści i XIV — przedstawiają dla dociekań historycznych pole zarówno wdzięczne, jak trudne; wdzięczne — bo badacz stoi tam niejako u źródła, skąd czerpać może zrozumienie niejednej, dla innych niewytłumaczonej zagadki dalszego biegu dziejów: — lecz jest to zarazem pole najeżone niezmiernemi trudnościami, z których najpierwszą jest właśnie owa chaotyczność panujących wówczas stosunków, ów labirynt społecznych tendencji, a nie ostatnią — małomówność źródeł.

Dlatego też wydobycie z pomroki dziejowej każdego nowego faktu, oświetlenie każdego niedość jasnego rysu, należącego do charakterystyki owej zamierzchłej epoki, nieocenioną ma wartość dla badań późniejszych.

W szeregu kwestji takich, niewyświetlonych jeszcze należycie, a niezmiernie ważnych dla zrozumienia ustroju społecznego, niepoślednie miejsce zajmuje kwestja rodowej własności chłopskiej.

Kwestji tej poświęcił swą pracę p. Szelągowski.

W czasach zawiązywania się organizacji państwowej u nas ziemia jest jedynym warsztatem pracy, stosunek więc do niej stwarza warunki układu warstw społecznych, a rozmaitość ich opiera się na różnicy praw do ziemi — temi słowy cechuje p. Szelągowski szeroką podstawę społeczną, na jakiej opiera swą monografię. A stosunek rozmaitych warstw ludności do tego wspólnego warsztatu-ziemi, oraz formy prawne, w jakie się ten stosunek układał w epoce, której badaniem się zajął autor, były niezmiernie różnorodne.

Obok starych i ustępujących form: rodowej i familijnej wspólnoty majątkowej we władaniu ziemią, oraz ojcowizny, widzimy formy nowe: osobistą własność prywatną, pochodzącą z nadań lub kupna; spotykamy różnice we władaniu ziemią u szlachty, u chłopów, u ludności wolnej i niewolnej — wpośród tej mnogości sposobów władania ziemią gubi się niejako pojęcie, kto jest prawdziwym właścicielem ziemi. Z pojęciami rzymskiemi, z łacińską nomenklaturą prawniczą przyszło z Zachodu pojęcie, że książę jest właścicielem ziemi, on też używa tytułu *haeres*. Tegoż tytułu używa jednak i szlachta i klasztory i wolni *(liberi)* i chłopi[1]). A że najczęściej jeden i ten sam kawał roli, pozostając pod berłem książęcem, należał do jurysdykcji pana, faktycznie zaś był zagospodarowany i znajdował się w posiadaniu rozmaitego rodzaju ludności rolnej — wyłania się więc stąd pytanie, któż był tym rzeczywi-

[1]) Cyt. w omawianej monografji dokument z roku 1292 zawiera ustęp następujący: *Homines nostri adscripticii haeredes de Gecov.*“

stym, prawdziwym posiadaczem ziemi. Jeśli ludność ta należała do tzw. niewolnej *(illiberi)*, tłomaczymy sobie wtedy, że księciu przysługuje prawo zwierzchności ogólnej, panu prawo własności ziemi, a ludności osiadłej rodzaj dzierżawy. Lecz jeśli ta ludność jest tzw. wolną, jeśli udowodnione są fakta, że ziemię dziedziczy? Wtedy dla określenia stosunku ludności tej do ziemi uciekano się zazwyczaj do pojęcia „wieczystej dzierżawy", lub wogóle zaprzeczano, aby chłopi kiedykolwiek mieli prawo zupełnej własności ziemi.

Wyniki badań p. Szelągowskiego w tej kwestji przedstawiają się jak następuje:

„Prawo do posiadania ziemi, ciągnięcia z niej pożytków przez ludność niewolną, trwało tak długo, pokąd ona pełniła swą służbę. Z uwolnieniem od służby na rzecz księcia, następowała utrata praw do ziemi. Istnieje tu zatem nie własność w pełnem i właściwem tego słowa znaczeniu, ale prawo użytkowania, zawarunkowane równoczesnem spełnianiem służby dla księcia, prawo które mogło się utrzymywać przez dziesiątki i setki lat, w całym szeregu generacyj po sobie, jeśli się utrzymał także stosunek służebny niewolnych; które jednak (to prawo) z woli księcia dało się każdej chwili znieść, jeśli równocześnie nastąpiło też rozwiązanie stosunku służebnego.

— — Spotykamy również nadania ziemi wraz z dziedzicami. Natomiast nie słyszymy o wypędzeniu dziedziców ze wsi lub uwalnianiu ich". Za opuszczenie swej roli mieli prawo chłopi-dziedzice żądać odszkodowania i w każdym razie zrzeczenie się praw ich do roli, którą zajmowali, było aktem dobrej woli, jak przekonywujemy się z przytoczonego przywileju z r. 1235, podług którego każdy z opuszczającyah rolę swą chłopów-dziedziców otrzymał krowę z cielęciem i dwie miary zboża za to, *quod de premissa villa bona cederent voluntate.* A zatem, dodaje p. Szelągowski, ustąpienie dziedziców ze wsi na rzecz księcia było dobrowolne, połączone z wymianą wsi na inną, tudzież z odszkodowaniem pozostałej straty, jaką ta zamiana przedstawiała. — To dobrowolne ustępstwo, zrzekanie się swoich praw do ziemi, jest aktem formalnym pozbycia ziemi. Akt ten wskazuje na pełne prawo własności, przysługujące chłopom-dziedzicom. — „Stosunek zatem chłopów-dziedziców do ziemi opierał się na jednem prawie własności, w przeciwieństwie do chłopów niewolnych, którzy ją posiadali tylko w charakterze użytkowców." Nadanie książęce mogło być tylko czasowe *(concessio pro tempore)*, lub też wieczyste, przyczem ziemia nadana liczyła się w zamian za służbę, jaką ludność spełniała. Z uwolnieniem od tej służby *(manumissio)* ziemia znów wracała do rozporządzenia księcia. Co innego były nadania ziemi ludności wolnej, chłopom-dziedzicom. Tutaj celem nadania nie było wynagrodzenie za służbę, lecz zaludnienie i zagospodarowanie pustkowi.[1])

Nieprzyjazne warunki wszelkiego rodzaju, jak rozbicie państwa na dzielnice i idący za tem brak poszanowania prawa i brak silnej władzy, wpływ kolonizacji niemieckiej i nowego ustroju gospodarstwa rolnego, wzrost produkcji zboża, wszystko złożyło się na upadek klasy chłopów-dziedziców i na stopniowy zanik tej formy władania ziemią, której oni byli przedstawicielami. Forma ta nie utrzymała się w ogólnej ewolucji społeczno-ekonomicznej późniejszych czasów, zatarła się nawet do tego stopnia pod wpływem nowych form ustroju społecznego, że po dziś dzień brak nam bliższych szczegółów, dotyczących np. pochodzenia tej klasy ludności, jak również przyczyn, które z jednej strony wyodrębniły ją z pomiędzy ludności niewolnej, a z drugiej strony nie zrównały ze szlachtą i w tej formie nie zapewniły dalszej egzystencji.

Interesująca monografja p. Szelągowskiego wzbogaciła zasób dotychczas nader skąpych wiadomości o tej warstwie ludności szeregiem cennych spostrzeżeń, które pomogą do oświetlenia nader zawikłanych stosunków społecznych ówczesnej epoki.

Lecz zgodzić się z autorem nie możemy, o ile skłonny on jest do uważania ludności „wolnej" za identyczną z „chłopami-dziedzicami."[1]) Rzucenie światła na stanowisko społeczno-prawne chłopów-dziedziców nie rozjaśnia jeszcze kwestji ludności tzw. wolnej i jej stanowiska prawnego do ziemi.

Widzimy np. w aktach klasztoru tynieckiego dokument, z którego wynika, że poddani tegoż klasztoru (*homines*) byli wolnymi (*nunquam fuisse subjectos*)[2]), podczas gdy klasztor ten nadaje wsie wraz z ludnością osobom trzecim, udzielając im praw rzeczywistych i wyłącznych właścicieli (*veros heredes et legitimos possessores*[3]), z czego wnosić można, że istniała ludność wolna nie posiadająca jednak praw dziedzicznej własności ziemi.

Pominąwszy jednak tę stronę omawianej kwestji, przyznać trzeba, że studjum p. Szelągowskiego stanowi nader cenny przyczynek do historji polskiej. Zwłaszcza staranne uwzględnienie ekonomicznych stosunków epoki, której stosunki prawne rozstrząsa, stawia kwestę na właściwym gruncie i chroni autora od mierzenia ustroju społecznego zamierzchłych wieków miarką teraźniejszych pojęć prawnych, dodatnio cechując jego pracę w szeregu dotychczasowych publikacji w tym przedmiocie.

Dr. Kazimierz Rakowski.

[1]) Str. 52.

[1]) Wynika to ze str. 22, gdzie mowa o tem, że wsie „niewolne" nie należały do tych, które założone były przez ludność pierwotnie przybyłą. A dalej mówi autor: „trudno osądzić, kim byli i skąd się wzięli ci ludzie wolni", choć potem, na st. 52. indentyfikuje ich z chłopami-dziedzicami, mówiąc o nadaniach „ziemi ludności wolnej, chłopom-dziedzicom."

[2]) W przywileju, uwalniającym wszystkich poddanych od daniny na rzecz kasztelana Wojnickiego, pisze Bolesław Wstydliwy (w r. 1257). „Mater nostra domina Grimislava per Domaratum subiudicem Cracoviensem requisita *homines* domus praefatae ad huiusmodi exactionem *nunquam fuisse subiectos* protestata est".

[3]) W dokumencie z 1274., nadającym wieś, należącą do klasztoru, Henrykowi i Gerardowi, mieszczanom krakowskim, znajduje się ustęp: „dedi et contuli Henrico, et Socio eius Gerardo civibus Cracoviensibus in re theutonico locandam et disponendam... constituendo predictos Henricum et Gerardum in eadem villa soltetos et iudices *et veros heredes et legitimos possesores*"...

Z „Drukarni Udziałowej" we Lwowie, ul. Lindego 8.